SOBOTA

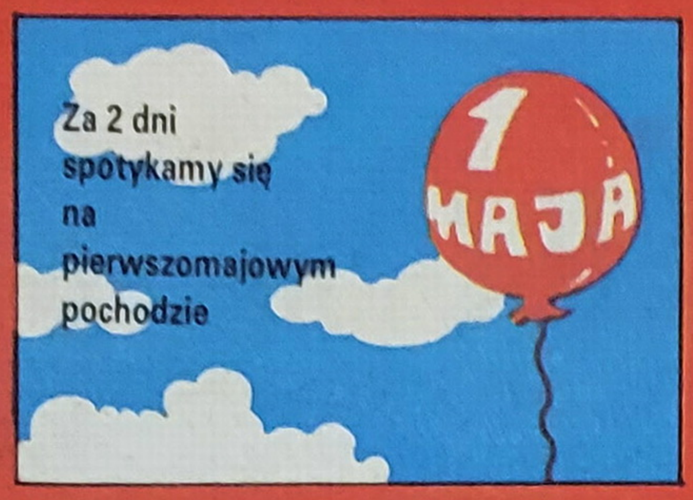

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 51 29 KWIETNIA 1978 R CENA 1.50 ZŁ

IDZIE POCHÓD ULICAMI ŚWIATA

Idzie pochód ulicami świata.
Nowe czasy skrzą się na sztandarach.

Samoloty lecą i gołębie.
Trąbi wiatr. A słońce złoci czerwień.

Szumią flagi na domach i mostach.
Idzie pochód, a z pochodem wiosna.

W ruchu kół i w ruchu ludzkich kroków
pora nowa jest i pora roku.

Ci, co dziejów zmienili zwrotnicę,
w wielkim marszu idą przez stolicę:

twórcy wszystkich użytecznych rzeczy,
dróg i mostów, i parków słonecznych,

twórcy poematów i symfonii,
ludzie elektrowni i stalowni,

ci, co czyszczą szkła w latarniach portów,
ludzie sztuki i ludzie transportu.

Tak przez ziemię idą nowe dzieje.
Z każdym rokiem pochód ogromnieje.

K. I. Gałczyński

Fot. S. Paweł

Rośnie fundusz festiwalowy

W całym kraju drużyny harcerskie wpłacają zapracowane przez siebie pieniądze na Fundusz Festiwalowy. W różny sposób są one zdobywane – za zbiórkę złomu i makulatury, za własnoręcznie wykonane maskotki sprzedawane na „bazarach solidarności", za sprzątanie nowo oddawanych bloków mieszkalnych i ich otoczenia, poprzez organizowanie loterii fantowych. Wspólny jest natomiast cel: chcemy zapracować własnymi siłami na wyjazd polskiej delegacji do Hawany, chcemy mieć własne środki, aby móc udzielać pomocy młodzieży z krajów walczących o wolność.

Z kilku chorągwi otrzymaliśmy informacje o zebranych już funduszach. Na pierwszym wśród nich plasuje się Toruń – 120 tys. zł; dalej: Kalisz – pon. 80 tys. zł; Poznań pon. 66 tys. zł; Konin – pon. 62 tys. zł; Piła – pon 52 tys. zł.

(jm)

JESZCZE JEDEN TEATR W BUDOWIE

LUBLIN (HSI). W Lublinie powstaje nowy teatr. Będzie to obiekt najnowocześniejszy w Polsce i jedyny tego rodzaju na świecie. Znajdą w nim siedzibę teatr dramatyczny i filharmonia, które łącznie pomieszczą 2 tys. widzów. Teatr wyposażony zostanie w wiele nowoczesnych urządzeń, m. in. w podziemne przejście do estrady na wolnym powietrzu, aparaturę do tłumaczeń z języków obcych i scenę dającą ogromne możliwości stosowania różnorodnych technicznych rozwiązań. Będzie ona nowocześniejsza nawet od sceny Teatru Wielkiego w Warszawie. Cała inwestycja zostanie ukończona i oddana do użytku w 1985 roku jako Teatr-Pomnik 40-lecia Polski Ludowej. Pierwszą premierą wystawioną w nowym teatrze będzie „Wesele" S. Wyspiańskiego.

Wszystkich tych informacji udzielił inż. R. Sikora na spotkaniu z młodzieżą, zorganizowanym z okazji Dnia Teatru.

Monika Kruszelnicka

Harcerze wstępują do partii

GARWOLIN (HSI). W Garwolinie odbyło się spotkanie harcerzy-uczniów klas czwartych szkół średnich z aktywem polityczno-społecznym miasta. Dziewczęta i chłopcy zapoznali się z najważniejszymi problemami społeczno-gospodarczymi województwa oraz poinformowali władze o swoich osiągnięciach w nauce i pracy społecznej, a także o dalszych planach życiowych. Kilkudziesięciu harcerzy z Liceum Ogólnokształcącego i Zespołu Szkół Zawodowych otrzymało w czasie spotkania legitymacje kandydackie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. **(aug)**

KONKURS WIEDZY O PATRONIE SZKOŁY

CIECHANÓW (HSI). W Zespole Szkół Zawodowych nr 1 im. generała Józefa Bema w Ciechanowie odbył się ostatnio apel poświęcony patronowi szkoły. Przygotowano program artystyczny złożony z wierszy poetów polskich i węgierskich oraz piosenek harcerskich i wojskowych. Podsumowano również konkurs „Wiedzy o patronie". Jego laureatami zostali: Zbigniew Markiewicz, Franciszek Dorocki, Mirosław Syryt i Danuta Jasińska. W czasie uroczystego apelu grupa najstarszych harcerzy ze szkolnego szczepu HSPS złożyła na sztandar szkoły ślubowanie instruktorskie. Imprezę tę zorganizowali harcerze przy współudziale samorządu uczniowskiego.

(aug)

Przed 35 rocznicą powstania LWP

TO JUŻ NIE IZBA, TO PRAWDZIWE MUZEUM

TARNOWSKIE GÓRY (HSI). Od kilku lat przy Zakładzie Rehabilitacji Przemysłowo-Zawodowej w Reptach Śląskich koło Tarnowskich Gór działa 60-osobowy Szczep Harcerski „Nieprzetartego Szlaku" im. majora Henryka Sucharskiego. Niedawno otwarto tu izbę tradycji, którą zorganizowali harcerze. W dużych gablotach umieszczono kilkadziesiąt zdjęć, fotokopii dokumentów oraz wycinków z gazet, związanych z historią Powstań Śląskich oraz udziałem Polaków w walce z najeźdźcą hitlerowskim w latach 1939–1945. Ciekawymi eksponatami są dwa mundury wojskowe: powstańca i polskiego lotnika walczącego w czasie II wojny światowej w Wielkiej Brytanii. Na specjalnym honorowym miejscu stoją urny z ziemią z Westerplatte, Oświęcimia, Warszawy, Kołobrzegu... Urnę z ziemią spod Monte Cassino ofiarował uczestnik tamtych walk, pan Michał Sołtowski, z pola bitwy pod Lenino „ojciec chrzestny" izby mjr Jan Tatało.

W izbie często spotykają się harcerze oraz ich koledzy przebywający w zakładzie. Odbywają się tu często wieczornice i kominki oraz spotkania z weteranami walki. Nowo przyjmowani do ZHP właśnie tu składają przyrzeczenie harcerskie. Dla wszystkich gości przygotowano montaż dźwiękowy „Od Lenino do Berlina", podczas którego wyświetlane są barwne przeźrocza. **(dak)**

Fot. **M. Żbikowski**

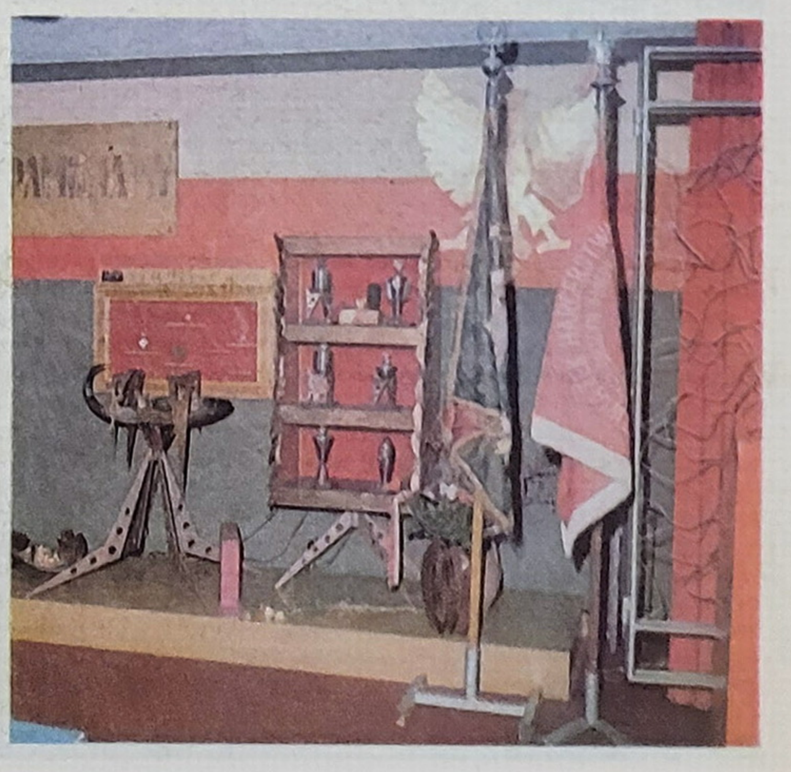

Kpt. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz

NA „MAZURKU" DOOKOŁA ŚWIATA

Przed ośmiu dniami polska żeglarka, kapitan Krystyna Chojnowska-Liskiewicz na s/y „Mazurek", w honorowej asyście jachtów, motorówek i holowników, przy akompaniamencie salutu armatniego, weszła do portu w Las Palmas na wyspach kanaryjskich. Tak zakończył się dwuletni, samotny rejs dookoła globu. Polka jest pierwszą na świecie kobietą, której udało się dokonać tego ogromnego wyczynu. Na uroczystość powitania naszej żeglarki przybył specjalnie do Las Palmas ambasador PRL w Madrycie, Eugeniusz Noworyta, a także nasz konsul generalny, przedstawiciele miejscowych władz no i, oczywiście dziennikarze prasy, radia i telewizji z całego świata.

Po uroczystym powitaniu i kilkugodzinnym wypoczynku, odbyła się konferencja prasowa kpt. Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz. Żeglarkę naszą pytano o najtrudniejsze momenty rejsu, o odcinki, które dały się jej najbardziej we znaki, czy były także chwile, że miała dość całej tej wyprawy i myślała o zrezygnowaniu, gdzie spotkała się z najserdeczniejszym przyjęciem itp. Pytań było oczywiście znacznie więcej. Opowiadając dziennikarzom o swej gigantycznej wyprawie pani Krystyna niczego nie taiła, przyznała się również do błędów, które popełniła. „Idąc z Sydney, np. utrudniłam sobie maksymalnie życie żeglując przez Wielką Rafę Koralową. Należało iść przez Cieśninę Torresa". Były również sytuacje, które o mało nie przekreśliły wysiłku żeglarki. „W lipcu ub. r. musiałam zawinąć do maleńkiego portu w Australii, Portland Road. Ponieważ atak kamicy nerkowej okazał się groźniejszy niż myślałam, lekarz skierował mnie do szpitala. Gdy wróciłam, okazało się, że „Mazurek" znikł. To było straszne, wszystkie plany wydawały się obracać w proch. Rozpoczęliśmy poszukiwania i po kilkunastu godzinach odnaleźliśmy jacht dryfujący i na szczęście na stanie zupełnie nie naruszonym. Po prostu kotwica nie utrzymała się na koralu i „Mazurek" sam odpłynął.

Niezwykle trudny był odcinek rejsu z Durbanu do Capetown. Porywiste wiatry, a na domiar złego zepsuł się samoster. Przez 16 dni kpt. Krystyna musiała sterować ręcznie, po 20 godzin na dobę. Nie załamała się, przezwyciężyła wszystkie trudności, walcząc nie tylko z wiatrem i morską falą ale i z własną słabością, chorobą, zmęczeniem. Dziś jest szczęśliwa, dokonała przecież niebywałego wyczynu zapisując się w historii światowego żeglarstwa na pierwszym miejscu. Będziemy ją witać jeszcze raz, tym razem w Gdyni, kiedy zawinie na swoim jachcie przed Dniami Morza w czerwcu. (b)

Uwaga: nadchodzi XXI wiek!

ELEKTROWNIE W DRESZCZACH

Zero bezwzględne. Minus 273 stopnie Celsjusza. Najniższa z możliwych temperatura w przyrodzie. Piszę – możliwych, ale jej osiągnięcie jest dla nas zupełnie niemożliwe.

W 1908 r. H. K. Onnes w swym laboratorium w Lejdzie zdołał **skroplić hel**. Tym samym od zera bezwzględnego dzieliły go mniej więcej cztery stopnie. W pracowni zaczęły się dziać niemalże cuda...

W naczyniu z ciekłym helem zanurzył Onnes ołowiany pierścień i przy pomocy magnesu wzbudził w nim przepływ prądu. To jeszcze nic. Wkrótce bowiem badacz usunął magnes, a prąd wciąż płynął i płynął. I płynąłby tak latami, gdyby nie... strajk transportowców, który przerwał dostawy ciekłego helu do pracowni uczonego.

Wniosek rewelacyjny: oto w bardzo niskiej temperaturze przewodnik utracił praktycznie opór elektryczny. Mówiąc współcześnie: stał się **nadprzewodnikiem.**

John W. Bremer rozpoczyna swą pracę p.t. „Urządzenia nadprzewodnikowe" takimi oto słowy: „*Starałem się opisać (...) nieograniczone możliwości wynikające z uwzględnienia jeśli nie niemożliwego, to nieprawdopodobnego zjawiska nadprzewodnictwa. Rzadko kiedy parametry fizyczne stają się dokładnie równe zeru*".

Jakież są te „nieograniczone możliwości"? Czy umiemy już z nich korzystać? Nie, raczej dopiero zaczynamy, bo – jak pisał wtedy Bremer – „*nadprzewodnictwo jest zjawiskiem, które – chociaż zostało odkryte 50 lat temu – dopiero ostatnio zaczęło opuszczać zacisze pracowni naukowych i wkraczać do świata techniki*".

Turbogeneratory kurczą się z zimna

Jak dotąd jest w Polsce tylko jedno miejsce, gdzie „nadprzewodnictwo wkracza do świata techniki". To wrocławski „Dolmel", jedyny w kraju producent wielkich maszyn elektrycznych. Silniki okrętowe, maszyny walcownicze, turbogeneratory dla przemysłu. Moce rzędu stu, a nawet i ponad dwustu megawatów...

– *Budujemy tu olbrzymy* – mówi dr Franciszek Gabryś, główny specjalista d/s badawczych tutejszego ośrodka badawczo-rozwojowego. – *Więcej: one są naszą chlubą. Ale patrząc na rozrost gigantów nie można w końcu nie zapytać: jak długo jeszcze? Niektóre z tych maszyn-kolosów już zbliżają się do kresu racjonalności. A przecież musimy osiągać moce coraz większe. Jak to robić bez absurdalnego już czasem powiększania rozmiarów? Tu właśnie nadzieję stanowią* ***kriomaszyny***...

„Kryos" znaczy po grecku: „zimny"...

– *Idea kriomaszyn?* – kontynuuje dr Gabryś. – *W skrajnym uproszczeniu: nawet przez bardzo cienki drut można przepuścić prąd kilkadziesiąt razy większy, jeżeli zrobić zeń nadprzewodnik przez znaczne oziębienie. Podobnie – ta sama ilość zwojów w warunkach nadprzewodnictwa pozwoli wytworzyć kilkadziesiąt razy silniejsze niż normalnie pole magnetyczne. Czyli, znacznie upraszczając: jeżeli zamrozimy pewne części maszyn elektrycznych, uzyskamy znacznie większe moce bez zwiększania rozmiarów. Wcale obiecująca perspektywa...*

Rzeczywiście. No, bo spróbujmy wyobrazić sobie świat zrewolucjonizowany przez technikę nadprzewodników. Niewielkie a wydajne elektrownie, na dodatek – jak się przewiduje – pracujące prawie bezawaryjnie i w ciszy. Kriokable, którymi można będzie przesyłać energię bez strat, skoro opór elektryczny praktycznie nie istnieje. Silniki i turbiny dużej mocy, a na tyle małe, że dające się zastosować już nie tylko do napędu niewielkich jednostek morskich, ale i... samochodów.

I tak oto niebacznie przekraczamy granice rzeczywistości i fantazji. Bo jak się okazuje – od laboratoryjnych eksperymentów Onnesa do pełnosprawnej kriomaszyny droga jest żmudna i daleka...

Sukces umyka „zimną dziurą"

Małe jest pomieszczenie, w którym stoi dolmelowska kriomaszyna. Mały jest zespół ludzi, którzy pod kierunkiem dra Eugeniusza Ciurzyńskiego przeprowadzają z nią eksperymenty. Sama maszyna też jest zresztą niewielka...

Na ścianie wisi jej schemat. W centrum rysunku widnieje uzwojenie, ukryte w zbiorniku otoczonym powłoką z ciekłego helu, który je oziębi do żądanej temperatury. Ale nie wystarczy wytworzyć bliski zeru bezwzględnemu mróz, trzeba go jeszcze utrzymać. Więc to wszystko otoczone jest izolującą przegrodą próżniową i jeszcze „płaszczem" z ciekłego azotu.

Maszyna gubi się wśród licznych rur i węży, wielkich zbiorników do przechowywania helu. Sprzęt ochładzający nie mieści się w małym pomieszczeniu. Więc jak to? Chcąc stworzyć mniejsze, trzeba doń dobudować większe?

– *Niby paradoks, prawda?* – objaśnia dr Ciurzyński. – *Ale trzeba pamiętać, że cały ten sprzęt ochładzający nie będzie się rozrastał proporcjonalnie do mocy budowanych urządzeń. Zarówno przy dwu megawatach, jak i przy dwustu, jest prawie takiej samej wielkości. Zresztą – wszystko, co tu widać, stanowi dopiero pierwszy krok...*

Pierwszy i chyba... najdłuższy. Zwłaszcza, że trzeba robić wiele kroków w miejscu. Bo eksperyment z kriomaszyną często wygląda mniej więcej tak...

Ochładzanie zwojów ciekłym helem. Trwa ono kilka dni – zarówno zwoje, jak niektóre inne części mogłyby nie wytrzymać gwałtownego oziębienia. Proces ten wymaga nieustannej kontroli, więc dla dr Ciurzyńskiego i współpracowników zaczynają się dni spędzone poza domem i zarwane noce. Czuwają na zmianę. Tam, w kriostacie, temperatura spada, tu, między ludźmi, rośnie. W końcu jest to istna gorączka. Uda się, czy nie? Dojdzie do nadprzewodnictwa, czy nie dojdzie?

Siedem stopni powyżej bezwzględnego zera. Musi być około czterech. Niedaleko...

I właśnie w tym momencie w warstwie izolującej próżni pojawia się nieszczelność. „Zimna dziura". Tak się ją tu nazywa. Termiczna izolacja „puszcza", temperatura przestaje spadać. Koniec. Trzeba zaczynać od nowa.

Eksperymentów było kilka, nadprzewodnictwo osiągnięto bodaj dwa razy na czas kilkunastu godzin. Za mało, by rozpocząć poważne badania. Więc dr Ciurzyński, mgr Lucyna Kwaśniewska i nieliczni współpracujący z nimi ludzie są zniecierpliwieni. Chcieliby wreszcie uzyskać trwałe nadprzewodnictwo potrzebne do systematycznych badań, już chcieliby...

Wyruszyć krioekspresem w XXI wiek

To nie przenośnia. W Japonii kursuje eksperymentalny pociąg na poduszce magnetycznej. Niewielkie kriomagnesy wytwarzają pole dostatecznie silne, by unieść jego stalową konstrukcję.

To przykład szczególnie efektowny. Ale nie jedyny i nie najważniejszy. We Francji, USA, w Związku Radzieckim przygotowuje się kriomaszyny dla potrzeb hutnictwa i napędu statków. W Wielkiej Brytanii taka maszyna już działa w jednej z elektrowni. Ludzie z „Dolmelu" mogą to wszystko obejrzeć na zdjęciach. Nic więcej. Tajemnica patentów.

Specjaliści są zdania, że „zimnych dziur" nie warto szukać i latać. Już lepiej budować nową maszynę. Nas jednak nie stać na to. Są też kłopoty z helem. 1600 zł litr, trzeba go oszczędzać, a więc chwytać parujący gaz do butli i odstawiać do ponownego skroplenia. Te i im podobne okoliczności przedłużają i komplikują badania. Ludzie z dolmelowskiej pracowni kriogenicznej wiedzą, że w przyszłość nie jadą ekspresem, raczej osobówką z częstymi przystankami. Ale jadą przecież. To jest najważniejsze.

Tymczasem zakład nadal żyje dniem dzisiejszym. Ośrodek Badawczo-Rozwojowy „Dolmelu" liczy ok. 400 osób. Ci od kriomaszyny stanowią nieco ponad jeden procent tej liczby. Hobbiści. Bywa, że i tak mówią o nich.

– *Ludzie robią to, bo czują, że tutaj jest przyszłość* – powiedział mi dr Gabryś na zakończenie rozmowy. – *Wszyscy to zresztą czujemy. Z pewnością na kriomaszyny już niedługo będzie moda. Ale nie o modę tu chodzi. Bo już dziś wyobrażamy sobie przypadki, kiedy urządzenia te będą jedynym rozwiązaniem.*

Dolmelowski prototyp kriomaszyny ma ruszyć w latach osiemdziesiątych. Trzeba tylko wreszcie raz na zawsze zlikwidować tę piekielną, „zimną dziurę"...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **Marek Szymański**

Technika kriogeniczna, jeśli zostanie całkowicie opanowana zmieni nawet wygląd krajobrazu. Tego rodzaju widoki będą wtedy należały do przeszłości...

Ci sami, a jednak inni

Kozłarz to był taki człowiek, co na budowie nosił cegły na plecach. Gracownik mieszał ręcznie – gracą zaprawę. Dziś ten pierwszy obsługuje dźwig, a drugi betoniarkę. Murarz zaś z pomocnikiem, co dawniej ręcznie układali cegły, są obecnie członkami zespołu montażystów, zestawiających dom z elementów prefabrykowanych. I tamci sprzed lat i ci współcześni są robotnikami budowlanymi, wznoszą domy. Niby ci sami, a jednak inni.

Czy unowocześnienie narzędzi powodujące w konsekwencji również i zmiany w sposobie pracy, ma wpływ na ludzi ją wykonujących? Oczywiście tak. Choćby tylko dlatego, że obsługiwanie nowoczesnych maszyn, posługiwanie się skomplikowanymi narzędziami, wymaga większej wiedzy fachowej. A również i dlatego, że współczesny robotnik musi w dużo większym stopniu posiadać poczucie odpowiedzialności; chwila nieuwagi może spowodować ogromne straty. Czy tylko te czynniki mają wpływ na ukształtowanie nowego robotnika, na zmianę w jego sposobie myślenia i działania? Nie. Wielką rolę odegrał fakt istnienia w naszym kraju od lat ponad trzydziestu ustroju socjalistycznego. Spróbujmy poszukać przykładu, na którym można by te zmiany ukazać, a może nawet wybiec trochę w przyszłość. Górnictwo...

Zakład Psychologii i Socjologii Głównego Instytutu Górnictwa, przeprowadził bardzo interesujące badania w kopalni „Jan". Od razu sobie wyjaśnijmy: nie jest to zwyczajna kopalnia, ale najnowocześniejsza, zautomatyzowana, w latach 1969–75 działająca jako samodzielny doświadczalny zakład górniczy w warunkach normalnego ruchu. A więc były planowe zadania, wydobycie itp. Jaki był efekt? Kopalnia tradycyjna musiałaby zatrudnić dziesięć razy więcej ludzi, aby osiągnąć takie same wyniki jakie osiągała załoga „Jana"! Jacy ludzie są członkami tej załogi? „W społeczności „Jana" – stwierdzili naukowcy z GIG – jak w soczewce można było obserwować rezultaty socjalistycznych przeobrażeń człowieka". Średnia wieku – 32 lata; 86,7 proc. załogi posiadało wykształcenie ponadpodstawowe, 60 proc., – średnie, ponad 60 proc. zamierzało kontynuować naukę, a 16 proc. już to zrobiło. Do pracy w kopalni „Jan" dostać się było trudno, nowoczesność, duża ilość prototypowych urządzeń, wymagała ludzi bardzo odpowiedzialnych o najwyższych kwalifikacjach. Ciekawe, czym kierowali się kandydaci do pracy w „Janie"? A było ich dużo więcej, niż wolnych miejsc. Możliwość wysokich zarobków skusiła zaledwie około 30 proc. pracowników, resztę pociągnęły względy tak zwane pozamaterialne. „Dostrzegali oni w pracy bardzo wyraźnie samoistną wartość: pragnęli nie tylko mieć poczucie, że ich wysokie kwalifikacje są odpowiednio wykorzystywane, chcieli także dalej je rozwijać i to przede wszystkim przez praktyczny kontakt z najbardziej postępowymi rozwiązaniami technicznymi" – stwierdziła ekipa socjologów przeprowadzających badania.

Górnicy z „Jana" bardzo źle oceniali tych – nielicznych zresztą przełożonych – którzy nie liczyli się z inicjatywą i pomysłowością szeregowych górników. Stwierdzono, że pracownicy bardzo źle przyjmowali zjawisko niemożności uczestniczenia we wspólnym z nadzorem rozwiązywaniu problemów. Jeśli zdarzały się takie przypadki, odbierały one pracownikom sporo satysfakcji z pracy. Jasno z tego wynika, że robotnicy tej najnowocześniejszej kopalni opowiadali się jednoznacznie za współpartnerskim stylem kierowania. Taki stosunek do zakładu pracy stanowi właśnie o tym, że górników z „Jana" można określić mianem „nowych robotników". Są oni oczywiście tacy sami jak ich koledzy z kopalni tradycyjnych, a jednak... trochę inni.

Ta inność wynika między innymi z ich młodego wieku, wysokich kwalifikacji zawodowych oraz z tego, że pracowali w kopalni, która wyprzedziła wszystkie inne w czasie.

JERZY KOWALKOWSKI

Świat, który nie wróci (1)

MIĘDZY DZIECIŃSTWEM A DOROSŁOŚCIĄ

Odkąd pamięta, zawsze przerastał swych rówieśników co najmniej o głowę. Kiedy mając lat 13, a było to w 1919 roku, postanowił wstąpić do Armii Czerwonej – wyglądał na 17. Taki wiek podał i uwierzono mu na słowo...

Jego ojciec, niegdyś inżynier górniczy w Donbasie, już nie żył, a matka, malarka, uczennica Riepina, uczyniła to, co wtedy w takich sytuacjach czyniło wiele matek. Rozpłakała się, a potem zawiązawszy w węzełek dwie koszule, z błogosławieństwem wyprawiła syna w drogę. W domu zostało jej dwóch młodszych i córka.

Najstarszy porcję sucharów i buty dostał już od swego dowódcy Malinkina...

Przewędrował w nich 200-kilometrową Wojenno-Gruzińską Szosą cały środkowy Kaukaz. Z przyjacielem – Kozakiem pływał w rwącym spienionym Tereku, którego wody, biorące swój początek w krainie wiecznego lodu, mkną doliną z szybkością pociągu pospiesznego, słuchał wierszy Lermontowa recytowanych żołnierzom przez komisarza politycznego, zachwycał się lśniącym jak diament, zawsze ośnieżonym szczytem Kazbeku. Co krok napotykał nowe sprawy, nowych ludzi.

Autor wspomnień Aleksander Minorski w latach 40 jako wysłannik radzieckiej kroniki filmowej w górach Ałtaju

„Szliśmy czasami na przełaj, nie trzymając się drogi, zobaczyłem wtedy po raz pierwszy pracę rolników w górach. Każde najmniejsze nawet poletko otoczone było niby murem – wałem usypanym z setek tysięcy głazów i kamieni. Rolnicy stale wybierali je z ziemi oranej wołami...

Po zmroku pilnowałem różnych obiektów, np. jakiś czas składu z dynamitem. W czasie tych wart, w niektóre noce – pewnie na skutek przejęcia rolą – ukazywały mi się różne widziadła: a to niby pies, a to człowiek z papierosem – potem się okazało, że świeciły robaczki świętojańskie – a to coś innego, równie tajemniczego".

Do stojącego na posterunku dzieciaka, udającego dorosłego, który razu pewnego – o zgrozo – zasnął oparty na karabinie, dochodziły słowa piosenek śpiewanych przez krasnoarmiejców. One również – choć nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy – stanowiły uzupełnienie jego edukacji życiowej komentując na wesoło rozgromienie interwentów:

„Tabak japoński,
prawitiel omski,
szyniel anglijski
patron awstrijski.".

*

„Patron spaliłsa,
szynel snosiłsa
tabak skuriłsa,
prawitiel – skryłsa"

Zawieszony między dzieciństwem a dorosłością, w niecodziennych dla siebie sytuacjach, przeżywał swój czas szybciej i intensywniej niż wielu chłopców w jego wieku.

Niestety nie trwało to długo, choć marzył by nie skończyło się nigdy. Zachorował na kaukaską malarię i musiał na zawsze opuścić piękną Gruzję. Pojechał do matki, aby kilka lat później razem z nią i rodzeństwem podjąć kolejną ważną decyzję: powrotu do Polski.

Wszak jego nieżyjący ojciec i matka – byli rodowitymi warszawiakami...

WAŻNE SŁOWO „JA"

*„Jak ktoś za często używał, no, nadużywał tego słowa, to wtedy jedna moja znajoma z Nowosybirska, Rosjanka, zawsze mówiła: – Litera **JA** jest o s t a t n i a w rosyjskim alfabecie, więc ty nie pchaj się tak z nią stale do przodu! Na to odpowiadałem, że trochę tego **ja** musi być, bo bez niego nie byłoby słowa **MY**.*

Tak było i ze mną: dużo się od ludzi uczyłem, ale przecież jak każdy chciałem zawsze iść swoją drogą.

W Krzemieńcu, o którym opowiem za chwilę – był w klasie pewien piekielnie zdolny uczeń, który w kilka minut robił wszystkie nawet najtrudniejsze zadania. Więc kiedy nasz matematyk, człowiek ciężko chory, po prostu drzemał na klasówkach, to wypieszczony zeszyt prymusa krążył po klasie i prawie wszyscy spisywali...

Tylko ja nie.

To co u niego ślicznie na jednej stronie od razu na czysto było wyliczone, ja z wielkim mozołem, kreśląc i poprawiając bazgrałem często z błędami na pięciu, sześciu stronach. Mnie matematyk nie znosił za te kleksy, przerabiania, przekreślenia. Ale to było moje własne, sam do tego dochodziłem.

Naśladownictwa nie cierpię, bo to jest zwykła kradzież..."

O BURZY, KTÓRA PRZESZŁA BOKIEM

W Warszawie okazało się, że rzeczywistość nie przedstawia się zbyt różowo. Z powodu słabej znajomości języka polskiego nie dostał się do żadnego liceum. Wtedy ktoś życzliwy poradził – jedź do Krzemieńca, większość ludzi mówi tam podobnie jak ty, na pewno ci się uda.

„Już w pierwszej rozmowie ze mną wizytator Dobrowolski wyczuł, że mogę mu zepsuć te jego potulne owieczki ze słynnego Liceum Krzemienieckiego i skierował mnie tam, gdzie przyjmowano każdego. Było to – w tym samym mieście – miejsce zsyłki dla Rosjan, Żydów, Ukraińców, Czechów i Polaków, których nigdzie nie chciano lub z innych szkół wyrzucano na zbity łeb. Chodziło ze mną nawet dwóch prawdziwych hrabiów Dziewanowskich...

Nauczycielstwo też było tam rozmaite. Francuskiego uczyła Rosjanka, fizyki – Ukrainiec, a dyrektorem był Polak, sierżant Piłsudskiego, który ukończył tylko cztery klasy szkoły powszechnej. Na lekcjach, szczególnie przedmiotów ścisłych nie rozumiał – ani w ząb – tego, o czym się mówiło. A przychodził je wizytować...".

Licealista Minorski doszedł wreszcie do matury, w czasie której... spowodował niebywały skandal. Pozwolił sobie mianowicie na wygłoszenie opinii wprost niesłychanej: porównał przywódcę chłopów z „Nieboskiej Komedii" do... Lenina!

Porównanie było naiwne i niewinne, ale wywołało prawdziwą burzę. Dyrektor-sierżant dostał w klasie niemal ataku apopleksji i gdyby nie natychmiastowa interwencja wizytatora z Łucka i polonisty – też biedaczysko zesłany był tam za jakąś gorszącą nieprawomyślność – mogłoby być źle. Kandydatowi na maturzystę groził tzw. wilczy bilet: zakaz wstępu do wszystkich szkół na terenie Polski.

Tym razem burza przeszła jednak bokiem, choć, mówiąc obrazowo, pioruny biły gęsto i blisko...

(cdn)

JERZY DĄBROWSKI
Fot. **Aleksander Minorski i APN**

TUNEZJA

Bez respektu dla najsilniejszych

ALBUM KIBICA

Nasza reprezentacja z piłkarzami Tunezji rozegrała tylko jedno spotkanie przed... 18 laty, podczas eliminacji turnieju olimpijskiego w Rzymie. Biało-czerwoni z pojedynku wyszli zwycięsko (6:1), ale od tamtych dni w tunezyjskim futbolu wiele się zmieniło. Szkolenie reprezentacji oparto głównie na wzorach przodujących drużyn europejskich, takich jak RFN i Holandia. Piłkarze tego kraju przyswoili już sobie wiele nowości technicznych i w swoich szeregach mają kilku zawodników, którzy pod względem umiejętności mogą rywalizować z czołowymi piłkarzami Europy i Południowej Ameryki.

O walorach naszego przeciwnika bardziej przekonuje jednak fakt, że jest on szkolony przez doskonałych fachowców przysłanych do Tunezji przez FIFA, w ramach specjalnej akcji szkoleniowej. W Tunezji coraz częściej goszczą też drużyny z Europy. W 1976 roku był tam również zespół Jugosławii, z którym gospodarze wygrali 2:1.

Trzeba przyznać, że Tunezyjczycy nieźle opanowali arkana nowoczesnego futbolu. Efektem tego jest ich awans do finałów MŚ. Sukces ten odnieśli po raz pierwszy, bowiem dwukrotnie musieli ustąpić w eliminacjach reprezentacji Maroka (1962 r. i 1970 r.) oraz zespołowi Wybrzeża Kości Słoniowej (1974 r.). Do cenniejszych osiągnięć tunezyjskiego futbolu zaliczyć należy awans do turnieju olimpijskiego w 1960 roku, a także zdobycie dwóch medali w igrzyskach śródziemnomorskich – srebrny w 1971 r. i brązowy w 1975 r. Tunezyjska jedenastka okazała się w tych rozgrywkach zespołem niezwykle groźnym, nawet dla amatorskich zespołów Europy.

Trener Majid Chetali ma w swoim zespole kilku asów. Postacią numer jeden jest niewątpliwie bramkarz i kapitan zespołu, 33-letni Sadok Attouga, nie mający ponoć sobie równego na afrykańskim kontynencie. Dyrygentem zespołu jest doskonały technik Dhiab Tarek, uważany za najlepszego piłkarza Afryki. Groźny w ataku jest też skrzydłowy Temine Hazami, a w obronie wyróżnia się twardo grający stoper Gasmi i mierzący 192 cm wzrostu „libero" Chebbi Kamel oraz niezwykle szybki i ofensywny prawy obrońca Dhouib.

Warto pamiętać, że przeciwnik biało-czerwonych w grupie to najlepsza drużyna na „Czarnym Lądzie" i może dać się we znaki nawet najsilniejszym.

Fot. **archiwum**

Reprezentacja Tunezji – nasz przeciwnik w dniu 6 czerwca na stadionie Central w Rosario. Stoją od lewej: trener Chetali, Dhouib Moktan, Djebali Amor, Ghasmi Khaled, Kaabi Ali, Labidi Kemais, asystent trenera Tafouk i kapitan drużyny, bramkarz Sadok Gassi Attouga; u dołu od lewej: Mohamed Akid, Ali Manai, Raul Ben Azize, Ghoummid Najib i Dhiab Tarek.

WCZORAJ OGŁOSZONE ZOSTAŁO ZADANIE-

ĆWICZ OKO I DŁOŃ

Czy na Waszym podwórku działa już klub podwórkowych przyjaciół?! Jeśli nie, szkoda – straciliście okazję doskonałej zabawy służącej równocześnie pożytecznemu spędzeniu wolnego czasu. Możecie jednak ten błąd naprawić i przystąpić do akcji „Kolorowe Podwórka" np. dzisiaj. Aby powstał klub podwórkowych przyjaciół potrzebnych jest kilka osób (mieszkających w jednym domu lub w sąsiednich), które chciałyby wspólnie bawić się i działać. Te kilka osób, to właśnie klub. Następnie musicie wybrać ze swojego grona dowódcę i wysłać do sztabu akcji (Polskie Radio, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 46, „Kolorowe Podwórka") meldunek informujący o powstaniu grupy. W niedługim czasie otrzymacie specjalną legitymację, która będzie wizytówką Waszego klubu. No i pilnie musicie słuchać Studia „Plus" (poniedziałki i piątki, godz. 14.30, program II PR), które w swoich piątkowych audycjach kieruje pod adresem wszystkich klubów podwórkowych przyjaciół cotygodniowe zadania.

Wczoraj właśnie zostało ogłoszone zadanie pt. „Ćwicz oko i dłoń". Polega ono na wykonaniu z różnych nieużytecznych już przedmiotów (plastykowe opakowania, puszki po sokach, pudełka po paście do butów, kartony itp.) rekwizytów do podwórkowych zabaw – kręgle, przeszkody do biegów, „narzędzia" do zabaw rzutowych... Druga część zadania polega, rzecz jasna, na organizowaniu tych zabaw na podwórku. Jest to zadanie na wyobraźnię – kto więcej zabaw wymyśli, kto wymyśli zabawy ciekawsze!?

Meldunek o realizacji tego zadania (jakie przygotowaliście rekwizyty i z czego, jakie wymyśliliście zabawy, ile zabaw i gier na swoim podwórku zorganizowaliście, ile dzieci w nich brało udział) napisany niebieskim długopisem lub niebieską kredką (jest to zadanie w kolorze niebieskim) wyślijcie jak najszybciej **pod adresem: Polskie Radio, 00-950 Warszawa, skrytka pocztowa 46, „Kolorowe Podwórka".** Wśród autorów nadesłanych meldunków sztab „Kolorowych Podwórek" rozlosuje nagrody-upominki.

Kolejne zadanie ogłoszone zostanie w Studio PLUS w piątek, 5 maja, w programie II Polskiego Radia.

Wiosenny biwak

Chłodna wiosna dała się nam we znaki, ale przecież wkrótce nadejdzie lato. To najprawdziwsze! A z nim obozy, rajdy, wakacyjna włóczęga. Już teraz warto sprawdzić sprzęt i... siebie na krótkich biwakach. Powąchać majową trawę. Odnaleźć wiosnę w zakątkach, do których chętnie wracamy, lub może w nowym zupełnie nieznanym terenie. Skorzystajcie z wolnych dni na początku maja. (ap)

Fotografował
J. Łopuszyński

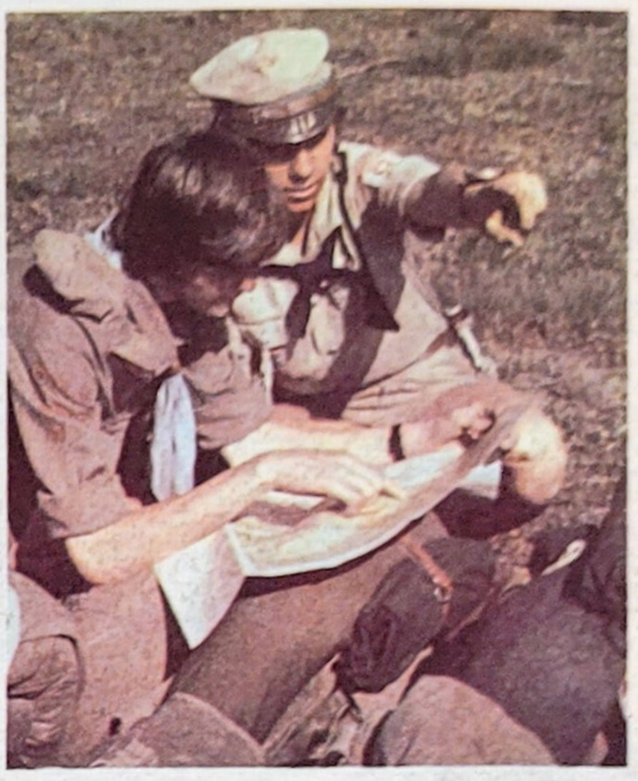

GDYBY NIE NASZ DZIADEK...

Do „Świerczewskiego" przyjeżdżać musiał aż z Błonia. Piątek czy świątek, fabryki trzeba było pilnować. Dłużyło mu się na służbie. To prawda. Ale ludzi poznał i sama produkcja zaczęła wciągać człowieka.

– Ot, każdą wolną chwilę spędzałem chodząc po zakładzie – opowiada Stefan Derela. Najwidoczniej coś go w tych wędrówkach zafrapowało. Podglądał robotę tak długo, aż sam do niej wyciągnął rękę.

Końmi po gruzy

W pięćdziesiątym pierwszym zacząłem wartować. Gruzy jeszcze wtedy panoszyły się „na zakładzie". Straszne były warunki. Ale kielnie, łopaty były potrzebne. Warszawa musiała mieć narzędzia do pracy. Bo czym odgruzowywać miasto? Rękoma? Pamiętam – opowiada Derela – jak Zieliński, taki prywatny przedsiębiorca z Woli, przyjechał na teren naszego zakładu. Szesnastoma konnymi wozami wywoził gruzy i ziemię, ziemię i gruzy. A mnie, wartownika, wciąż ciągnęło na produkcję. W młodości pracowałem w Kolejowych Zakładach Naprawczych i na ślusarce znałem się cokolwiek. Dlaczego nie spróbować tu w Warszawie? Całe życie przecież „wartować" nie będę.

– E, tata to jeszcze przed przejściem na produkcję zajmował się nie tylko służbą wartowniczą – wtrąca się Wanda, najmłodsza z dzieci państwa Derelów. Kiedyś, chyba w święta Wielkiej Nocy czekali wszyscy na ojca z obiadem. Godzina, dwie, nie wraca. Pod wieczór rodzina zaczęła się denerwować. Uspokajała wszystkich matka, pani Walentyna. „Pewnie nie zgłosił się któryś na zmianę i ojciec musiał go zastąpić". Okazało się jednak, że pan Stefan pojechał z delegacją z Moskwy do Oświęcimia. „Służyłem wtedy za tłumacza" – śmieje się Derela.

Żarty żartami, ale znudziła się kilkuletnia już, monotonna praca wartownika. Przeszedł na produkcję. Zaczął na „siedemnastce", tak nazywała się hala, jedyna wówczas, na której produkowano i młotki i... igły do strzykawek! Trudności wielkich nie miał. Zręczne ręce. To wtedy było dużo. Z jednym były kłopoty. Stary majster, mistrz w swoim fachu, tajemnicy szybkiej i dobrej roboty młodym „sprzedać" nie chciał. Stefan Derela bez niczyjej pomocy musiał nabierać doświadczenia.

– Dziś widzę jak chodzą koło naszej młodzieży. Specjalny opiekun jest wyznaczony.

A i Derela też podpowie, klucz odpowiedni dobierze, naprawić maszynę pomoże. Kiedy zaczynał, przed 27 laty trzeba było gonić stracone lata. I robić, robić, jak najwięcej. Trzeba było pokazać wszystkim, że starą fabrykę, obchodzącą dziś swoje 80-lecie, warto odbudować i rozbudować.

– Kiedy zdecydowałem się na pracę w tym samym zakładzie, znałem już wielu z załogi nie tylko z nazwiska – wspomina najstarszy syn, Stanisław. Początkowo po zawodówce myślałem nawet pójść za ojcem, do zakładu.

Ale jak przyszło co do czego, zląkł się. Bo to już nie był ten „Świerczewski", o którym ojciec opowiadał. Załoga – trzy tysiące ludzi! Trochę to przerażało młodego Staszka. Wolał zaczynać w mniejszej fabryce. Do szkoły, którą ukończył przychodziły oferty. I jakie atrakcyjne. Na przykład pływanie po morzach. Ale w domu ojciec nic, tylko: „u mnie będziesz robił, zobaczysz, nie pożałujesz. To dobry zakład. A będzie jeszcze lepszy". I dziś syn przyznaje, że gdyby nie presja starego Dereli, to wówczas wyjechałby z domu.

– A czy ja mogłem na to pozwolić? – wtrąca się ojciec. – Bałem się o chłopaka. Wyjedzie, pieniądze zacznie dostawać i nie będzie wiedział, co z nimi zrobić. Miał siedemnaście lat. Dobrze mieć jeszcze takiego na oku. Stanisław uległ. Został. I jak dotąd nie żałuje. A że był energiczny i nie lubił czasu tracić, to i technikum udało się „zaliczyć".

Męczyło go, że nad wykończeniem dłuta musi pracować tak długo. Wymyśleć coś, żeby ulepszyć obróbkę? Do tego trzeba więcej wiedzieć. I jak tylko skończył technikum, znalazł rozwiązanie. To był jeden z pierwszych wniosków racjonalizatorskich jakie zgłosił, pracując już jako technolog.

– Dzięki niemu – mówi z dumą pan Stefan – jedno dłuto robią dziś nie w pięć, a w trzy godziny. Ile to w pieniądzach, Stasiu? Około 500 tys. złotych oszczędności rocznie! Potem skonstruował nawet z kolegami urządzenie usprawniające cały proces obróbki dłuta.

– On zawsze był dokładny – śmieją się siostry. – To i w Fabryce Narzędzi Precyzyjnych swoje miejsce szybko znalazł. Kiedy mieszkali w trójkę, całe rodzeństwo w jednym pokoju, Wanda i Halina nie wiedziały nigdy, czy cieszyć się, czy złościć z powodu tej pedanterii. Teraz jednak jednogłośnie stwierdzają – to był strasznie kochany chłopak.

– Z tymi kłótniami na temat czy „Świerczewski" czy samodzielny wybór miałam sporo utrapień – odzywa się matka, Walentyna. Rozmowy ciągnęły się długo w noc. Ale mąż miał rację. Przez długi czas przychodził do mnie Staszek i wręczał całą pensję mówiąc „ja ich nie potrzebuję, nie wiem, na co je wydać". Derelowa przez pierwsze miesiące po 200 złotych oddawała synowi. „Nie chcesz więcej to nie, ale może te ci się przydadzą."

– I co pani powie – uśmiecha się. – Wycierały mu

REDAKCYJNA POCZTA

Przyjaźń i pieniądze

Zaintrygował mnie list Marty z 36 n-ru „ŚM". Mam wiele koleżanek i kolegów, którzy noszą modne ciuchy, dostają od rodziców 200 złotych miesięcznie i mają prawie wszystko czego zapragną. Mimo to jednakowo cenią tych ludzi, którzy chodzą w zwykłych teksasach jak i tych we wranglerach czy levisach. Uważam, że podział ludzi na mniej i bardziej zamożnych jest całkiem bez sensu. Na miejscu Marty nie martwiłabym się zbytnio utratą złośliwej koleżanki i choć może być to trudne nie zwracałabym uwagi na jej drwiny. Myślę, że po pewnym czasie Wioletta zrozumie, iż prawdziwych przyjaciół nie zdobywa się za pieniądze.

„Elka"

Lidia Staroń ul. Krucza 22, 44-336 Jastrzębie Zdrój (lat 15) zbiera fotografie aktorów i piosenkarzy. Interesuje się problemami rówieśników.

„Niezdrowe uczucie"

Po przeczytaniu listu „Zaczęło się od przyjaźni" doszłam do wniosku, że Marek w dużej mierze zasłużył na negatywną ocenę dziewcząt, które dawały mu kosza. Myślę, że gdyby zasługiwał on na zaufanie, to byłby nim obdarzony. Z pewnością popełnił jakiś błąd lub zachował się w ten sposób, że dziewczęta nie chciały dłużej się z nim spotykać. Piszę to z całym przekonaniem, bo i ja popełniłam kiedyś błąd. Zaprzyjaźniłam się z pewnym chłopcem, którego przeniesiono do naszej klasy z innej szkoły. Po jakimś czasie zakochałam się w nim. Źle jednak ulokowałam swoje uczucia, bo „Krzysiek" zaczął zadzierać nosa i traktował mnie z pobłażliwym uśmieszkiem. Ja na to nie reagowałam i to też było niedobre. Po wakacjach zapanował między nami stan obojętnej równowagi. Rok później „Krzysiek" znowu zaczął się ze mnie zgrywać, ale ja tym razem odwzajemniłam się tym samym. Kocham go jednak nadal, ale myślę, że może już niedługo uda mi się wykorzenić z serca to „niezdrowe uczucie".

Marysia z Sopotu

Jak odzyskać tę przyjaźń?

Tak się jakoś składa, że mam wiele problemów i jednym z nich chciałabym się podzielić. Dwa lata temu zmieniłam szkołę. Pierwszą dziewczyną, która mi zaufała była Ewa. Z nią właśnie zaprzyjaźniłam się. Nie zawsze miałyśmy jednakowe zdanie i zdarzało się, że dochodziło między nami do drobnych kłótni. Nie miały one jednak większego znaczenia. Niedawno kierownictwo szkoły przeniosło mnie do innej klasy. Przyjaźń z Ewą wcale się nie skończyła wręcz przeciwnie – umocniła się jeszcze bardziej. Rozumiałyśmy się lepiej niż niejedno rodzeństwo. Aż pewnego dnia dowiedziałam się od pewnej koleżanki, że Ewa pogniewała się na mnie. Z początku nie uwierzyłam, bo przecież nic złego jej nie zrobiłam. Gdy jednak okazało się to prawdą załamałam się. Ewa mija mnie teraz obojętnie, rzucając od czasu do czasu wrogie spojrzenie. Nie wiem co robić, jak odzyskać przyjaźń dziewczyny, której jak sądzę nikt nie dorówna.

Ewa z VIc

OD REDAKCJI: Każde nieporozumienie, tym bardziej także nieuzasadnione, powinno być wyjaśnione. Brak zaufania i niedomówienie zniszczyły już niejedną przyjaźń. Dlaczego więc tak długo zwlekasz, Ewo, z podjęciem szczerej rozmowy ze swoją przyjaciółką? Przeprowadź ją czym prędzej, bo z tego co piszesz wynika, że nie było żadnego poważnego powodu zerwania Waszych więzów. (ms)

WYPRACOWANIE NA BANALNY TEMAT

To zwyczajna, lecz trochę dziwna historia. Zaczęło się to wszystko w piękny, słoneczny, marcowy dzień. Była sobota – pamiętam dokładnie. Minęły właśnie 33 lata od wyzwolenia naszego miasta i nauczycielka języka polskiego, a zarazem nasza wychowawczyni poświęciła temu tematowi lekcję wychowawczą. Mówiła o ciężkich bojach o Wał Pomorski, o walkach kołobrzeskich, o pierwszych dniach po wyzwoleniu naszego miasta – Koszalina i powrocie tych ziem do Macierzy. Właściwie nikt w klasie tego nie słuchał. Klasa była rozgadana i rozkrzyczana. Temat lekcji, choć przecież bardzo ciekawy nikogo nie obchodził, a może tak tylko udawaliśmy? Interesujące, co prawda trochę już pożółkłe, ilustracje, które skądś wyszperała dla nas nauczycielka, oglądaliśmy z chłodną obojętnością. Dziś się zastanawiam – czy to nie była „gra"?. Może wszyscy chcieliśmy się popisać przed klasą i nie uchodzić za tzw. lalusiów – pilnie słuchających wykładu? Może tak było. Tego jednak nie dowiem się nigdy. Klasa pozwalała sobie już za wiele. W końcu musiało do tego dojść. Śmiechy i rozmowy zdenerwowały nauczycielkę, która przecież starała się nas nie zanudzać. Mimo jej próśb – nie uspokoiliśmy się. Wręcz przeciwnie, było coraz głośniej. Wreszcie usłyszeliśmy upragniony dla nas dzwonek kończący lekcje. Do domu! Wychowawczyni nas zatrzymała jednak za wręcz „katastrofalne" zachowanie na lekcji, zadała nam do domu wypracowanie na jakże banalny temat: „Za co kochasz swoje miasto?". Termin – dwa dni. Miny wszystkim oczywiście zrzedły, a humory zepsuły się. „Do diabła – nie mogła nic innego wymyśleć i to akurat w sobotę" – mówili jedni. Drudzy wzruszali bezradnie ramionami. Ja również byłam wściekle zła. Obiad w szkolnej stołówce, chociaż były moje ulubione pyzy, zupełnie mi nie smakował. Tak jak inni nie byłam zachwycona perspektywą kilkugodzinnego ślęczenia nad kartką podaniowego papieru. Temat wypracowania uważałam za zupełnie bezsensowny. No bo co tu można napisać? Po prostu mieszkam tu i już!

Ratusz i pomnik XX-lecia

Po powrocie do domu jak zwykle wybrałam się na spacer z moim psem – Karuskiem. Na dworze było pięknie – prawie wiosennie: słonecznie i ciepło. Niebo bez żadnej chmurki, lekki przyjemny wiaterek, wróble ćwierkały wesoło dookoła... Szłam sobie ulicą i właśnie wtedy coś mnie nagle tknęło. Zobaczyłam pięknie mieniący się w słońcu park, kolorowe elewacje domów, samochody mknące nowoczesną arterią komunikacyjną... Patrzyłam na szczęśliwe, rozbawione dzieci i... ogarnęło mnie radosne zdumienie! Zrozumiałam, że ja KOCHAM TO MIASTO!!! To dziwne, myślałam, mieszkam tu 15 lat, a dopiero teraz zauważyłam całą jego urodę. Nogi same mnie poniosły! Mijałam jakże znane mi miejsca i poznawałam je jakby na nowo. To moje osiedle. Tu stoi moja szkoła, tam widać moje bloki. Minęłam śródmieście i znalazłam się w centrum – samym sercu miasta. Usiadłam na chwilę na ławeczce. Usłyszałam bicie ratuszowego zegara. Po chwili, gdy przeminęło już ostatnie, dwunaste uderzenie, posłyszałam szum morskich fal, a potem śliczną, dźwięczną melodię. Tak, to był nasz hejnał. Hejnał Bałtyku, nie krakowski, nie poznański, ale nasz – pomorski. Wstałam jak sparaliżowana. Czy to możliwe, że mieszkając tu parę długich lat dopiero dziś go zauważyłam? – zastanawiałam się po raz nie wiadomo który.

Zabytkowy domek kata

Minęłam stare, urocze kamieniczki i błyszczące w słońcu przepiękną, czerwoną, jakby ceglaną barwą fragmenty murów obronnych. Zapachniało starością i dawnością. Gdy coraz dłużej chodziłam ulicami miasta, ogarniało mnie coraz większe zdziwienie i zdumienie. Przypomniały mi się słowa artykułu wydrukowanego w przeddzień rocznicy wyzwolenia:

„Pogrążeni w codzienności, w wirze nauki i pracy, nie mamy czasu, aby spostrzec jak wiosną pięknie zielenią się koszalińskie parki, jak błyszczą, w słońcu elewacje domów. Brakuje czasu, aby spostrzec zimą nadlatujące z jeziora Jamno białe mewy..." W myślach dodałam: ...aby spojrzeć na resztki murów obronnych w promieniach zachodzącego słońca, aby wysłuchać jakże pięknego hejnału koszalińskiego, jaki codziennie rozlega się o 12.00 w takt bicia ratuszowego zegara, aby spostrzec całą urodę tego miasta, żeby zrozumieć, że się KOCHA TO MIASTO... Podziwiałam nowoczesne osiedla, piękne ulice, zieloność parków, szum Dzierzęcinki i słowa same cisnęły się na usta. Już wiedziałam co napiszę. Cieszyłam się. Tak, po raz pierwszy cieszyłam się, że mogę właśnie tu mieszkać, tu się uczyć. Ogarnęła mnie wdzięczność dla

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

się tylne kieszenie w portkach, a nawet tej niewielkiej sumy nie wydawał. Potem się zmienił. Wydoroślał. Poznał dziewczynę...

Jak już dwoje z rodziny podparło fabrykę na Woli, nic nie stało na przeszkodzie, by i Halina, średnia latorośl, po skończeniu szkoły zawodowej poszła w ślady ojca i brata.

– Z niej to mieliśmy pociechę – kiwa głową stary Derela. Nawet swego męża do fabryki sprowadziła!

„Pospieszne" budziki

Jeszcze tylko nie pracowała matka. Ktoś domu musiał podtrzymywać. Ale jak Wanda skończyła osiemnaście lat dzieciom nie była już tak bardzo potrzebna. A wszyscy w domu „terkotali" o pracy, o fabryce. A że hartownia wielka powstaje: już nie dwa, trzy piece, ale wielka, ogromna hala.

– To i ja spróbuję – postanowiła pani Walentyna. – Pieniądze przydadzą się na pewno. O weseliskach myśleć trzeba. No i tak w ogóle przykrzyło się w domu samej. Najpóźniej, bo najpóźniej, ale zdecydowała się.

– Jak to było? To przecież pierwsza praca w pani życiu – pytam. Nim pani Walentyna odpowiedziała, w całej rodzinie zapanowała radość. Pamiętacie jak to było z zegarkami?!!!

– Bo wie pani, mama tak się przejęła punktualnością. Żeby się tylko nie spóźnić na tę szóstą rano. A z Błonia, gdzie mieszkali, trzeba trochę czasu na dojazd pociągiem. I co wymyśliła mama? Każdego wieczora cofała wskazówki zegarka o kilka minut. Tylko, że na ten sam pomysł wpadł i ojciec. Budzik dzwonił coraz wcześniej aż... po tygodniu tata wyprawił się do Warszawy pierwszym pociągiem, jaki odjechał po godzinie dwunastej w nocy. Ale był wtedy zły!

– A ja i tak przyjeżdżam do zakładu na piątą piętnaście. Jeszcze i dziś – kończy spokojnie Derelowa.

– Oj, zmieniło się w domu, odkąd mama te budziki zaczęła nastawiać – wzdycha Wanda. – Ojciec musiał pewne domowe obowiązki przejąć na siebie. I raczył nas zupami, co to jak sam mówił „wszystko, co w szafie było, do nich wrzucał".

Teraz wszyscy mają swoje życie. Spotykają się od czasu do czasu. Jak to w rodzinie. Stanisław z żoną-nauczycielką, dostali mieszkanie w Warszawie, reszta rodziny mieszka dalej w Błoniu. No, raz na jakiś czas wnuczki przyjadą, dziadka zobaczyć. Właśnie! Nasz dziadek. Tak wszyscy już nazywają Stefana Derelę. W fabryce też inaczej się o nim nie mówi.

– Przychodzą do mnie często – mówi syn – i pytają, kiedy dziadek wróci z urlopu, bo jakoś tak smutno bez niego. A jak przyuczał chłopaków zaczynających robotę przy maszynie, to potem z nikim innym pracować nie chcieli.

Przez pierwsze dni pracy trudno przebrnąć. Nowe zajęcia, nowe wymagania. Dla wszystkich Derelów jasne jest dziś, że gdyby nie dziadek, obcość w pierwszym kontakcie z dużą fabryką mogłaby ich z niej nawet „wygonić". Rozumie to i sam pan Stefan i dlatego dziadkiem jest nie tylko dla swojej rodziny.

MILENA HAYKOWSKA

Fot. J. Łopuszyński

Rodzina Derelów w komplecie. Od prawej: dziadek Stefan, jego wnuk Darek, babcia Walentyna, średnia latorośl – córka Halina z mężem Czesławem, najmłodsza córka Wanda, wnuczka Renia, najstarszy syn Stanisław i jeszcze jedna wnuczka Kasia. Stoi żona Stanisława – Krystyna nauczycielka, która choć nie pracuje w „Świerczewskim" uczestniczy w pracy „rodzinnego" zakładu, prowadząc kolonie dla dzieci pracowników fabryki.

Zanim będzie maj, a ja jestem – okropnie sama. No nie, mam oczywiście Ulkę, inne koleżanki i wielu różnych kolegów, ale nie mam swojego chłopaka. I nie jestem wcale zakochana. Jak dotychczas, specjalnie mi to nie przeszkadzało, ale w maju, to wstyd uchodzić za taką... starą pannę. Tym bardziej, że dziewczyny prześcigowują się jedna przed drugą, jakie to mają powodzenie. O Magdę, to się nawet podobno w zeszłym tygodniu pobiło dwóch licealistów.

Magda chodzi dumna z tego powodu i blada, nosa do góry zadziera, że aż strach. Co prawda, niektórzy mówią, że tych dwóch pobiło się wcale nie o Magdę, a o jakiś znaczek pocztowy, ale ja myślę, że przecież bez powodu Magda by o tej bójce (że to w jej sprawie była) wszem i wobec nie bujała. Zazdroszczę jej ciutkę, żeby to się o mnie tak kroś pobił!...

Niestety, jak na razie nic się takiego nie zapowiada. Któregoś dnia przed snem, dokonałam nawet w myśli takiego przeglądu chłopców, których znam i doszłam do wniosku, że... nikt się, niestety, nie nadaje. Bo albo są już zajęci, albo mają więcej wad niż zalet i strasznie trudno byłoby mi się w takim zakochać. No i co mam zrobić?! Nie dam przecież ogłoszenia matrymonialnego do gazety, bo po pierwsze – nie mam na to pieniędzy, a po drugie – pojęcia nie mam, gdzie się trzeba z tym zgłosić. Jest jeszcze „i po trzecie" – skąd niby pewność, że taki chłopak z ogłoszenia by mi się podobał?! Okropne ryzyko! A w związku z tym sytuacja też wygląda fatalnie, no, wręcz – dennie. Absolutnie nie widzę wyjścia. To znaczy – owszem, jedno wyjście wymyśliłam. Psa. Bo jakbym miała psa, to bym chodziła z nim na spacer. Na przykład do parku nad rzekę. Tam chodzą ludzie z psami. I jak psy się ze sobą pokumają, to ludzie też się zatrzymują i rozmawiają ze sobą. Więc gdyby np. mój pies zaprzyjaźnił się z psem takiego jednego chłopaka w granatowej wiatrówce i okularach, to my byśmy się też poznali. Bo ja tego chłopaka nie znam – właściwie znam, ale tylko z widzenia – ale mi się podoba. Raz widziałam go jak szedł ze swoim psem i czytał „Muminków". Innym razem pomagał małym dzieciom w parku naprawić jakąś zabawkę, a kiedyś widziałam go jak się ze swoim psem ścigał, kto szybciej biega. I wiem jeszcze, że nie ma żadnej dziewczyny, bo nigdy go z żadną dziewczyną nie widziałam. Więc tak sobie myślę, że mogłabym się w nim zakochać. Ale po co mi zakochiwać się na odległość?! Nic z tego mi nie przyjdzie, dziewczyny nie będą o tym wiedziały. Dlatego najpierw musielibyśmy się zapoznać. I do tego potrzebny mi jest pies.

Którego nie mam. I mieć nie będę, moi rodzice są przeciwnikami zwierząt trzymanych w domu. Nawet sobie sprawy nie zdają, jak mi łamią tym życie. Fatalna sprawa! Maj się zbliża...

ANKA

MIĘDZYNARODOWA WIOSNA ESTRADOWA...

... odbędzie się w dniu od 4 do 7 maja w Poznaniu. Obok młodych wykonawców wystąpią piosenkarze znani i uznani. Są to: Locomotiv GT, Sarolta Zalatnay i Klari Katona z Węgier, Orera i Helena Kamburowa z ZSRR, Lili Ivanowa z Bułgarii, Veronika Fischer z NRD, Karel Gott, Jiri Korn (na zdjęciu) z Czechosłowacji.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NUMERU PRIMAAPRILISOWEGO

Oczywiście – Mick Jagger! Trafnych odpowiedzi napłynęło bardzo wiele. Dziękujemy. A teraz uwaga! Fotosy znanych wykonawców z autografami wylosowali: Bogusława Hołda z Jeleniej Góry, Przemysław Głąb z Wrocławia, Tadeusz Babiński z Łęgu, Wojciech Kozłowski z Warszawy, Anna Ulfig z Lublińca, Krystyna Gałkowska z Olsztyna, Anna Melska ze Strzelców i Beata Kopiec z Tych. Gratulujemy!

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje:
LECH NOWICKI

Wrocławskie Skowronki Radiowe...

... popularny chór dziecięcy, powrócił niedawno z Czechosłowacji, gdzie wziął udział w Międzynarodowym Spotkaniu Chórów Dziecięcych Radiofonii OIRT. Zespół ten, założony i prowadzony z wielką pasją przez Edmunda Kajdasza, zaprezentował czeskiej publiczności i swoim kolegom z bratnich chórów przybyłych z Bułgarii, RFN, Węgier i Związku Radzieckiego pieśni i piosenki polskich kompozytorów: Stanisława Moniuszki, Witolda Lutosławskiego, Karola Szymanowskiego i Grażyny Bacewiczówny. „Skowronki" występowały nie tylko w Pradze, ale i w innych miastach, uczestniczyły też w spotkaniu z czeskim kompozytorem, pianistą i wielkim przyjacielem dzieci Piotrem Ebenem.

Dzieci Paryża...

... to nazwa chóru, który ponad tydzień przebywał w naszym kraju na zaproszenie Reprezentacyjnego Chóru ZHP. Czterdziestoosobowy zespół powstał w roku 1973, ma już za sobą występy niemal we wszyskich krajach Europy, a także w USA, Kanadzie, Ameryce Południowej, Japonii a nawet na egzotycznej wyspie Tahiti. Z każdego tourneé przywozi nie tylko pochlebne recenzje, ale nowe, oryginalne pieśni i piosenki, które włącza do swojego repertuaru. Chłopcy pracowicie spędzają wakacje; intensywnie ćwiczą, koncertują, nagrywają. Do Polski przyjechali po raz pierwszy. Wystąpili w Filharmonii Narodowej, Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej, Sali Marmurowej Pałacu pod Baranami, Domu Muzyki im. Grzegorza Fitelberga, Filharmonii Wrocławskiej, Katedrze Oliwskiej, Sali Białej gdańskiego ratusza i Domu Harcerza w Gdańsku, zwiedzili Warszawę, Wrocław, Toruń, Gdańsk, Malbork, byli w kopalni węgla kamiennego, zamku w Oleśnicy i na Westerplatte.

Na koncercie w PWSM chór wykonał utwory renesansowe współczesnych kompozytorów francuskich, a także ludową polskę piosenką „Czemu Kalino".

GRAMY NA GITARZE

(lekcja 8)

Uwaga gitarzyści!!!

Gitarowa edukacja dobiega końca. Drukowana dziś lekcja jest jedną z ostatnich. Prawie trzyletni kurs chcielibyśmy jednak jakoś podsmować. Zatem – uwaga! uwaga! Wszystkich gitarzystów, korzystających z lekcji Janusza Popławskiego, zapraszamy do wzięcia udziału w WARSZTATACH, które chcemy zorganizować w ramach V Harcerskiego Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej. Ta największa szkolna impreza odbędzie się w Kielcach w dniach od 27 lipca do 13 sierpnia. Warsztaty gitarowe trwać będą tylko tydzień – prawdopodobnie od 1 do 6 sierpnia, ale na festiwalu trzeba być od początku do końca. Zapytajcie więc rodziców, czy nie zaplanowali w podanym wyżej terminie wczasów, obozów, i kolonii. Jeszcze jedna, ważna informacja: udział w warsztatach jest bezpłatny. Tyle tytułem wstępu, a teraz szczegóły: w warsztatach mogą wziąć udział uczniowie posiadający aktualną legitymację szkolną; bardziej zależy nam na gitarzystach – akompaniatorach, potrafiących również śpiewać, niż na instrumentalistach – wirtuozach. Jeśli i te warunki spełniacie, możecie przystąpić do rozwiązywania zadań eliminacyjnych przygotowanych przez Janusza Popławskiego.

Oto one:

1. Na schemacie gryfu zaznaczcie następujące dźwięki.

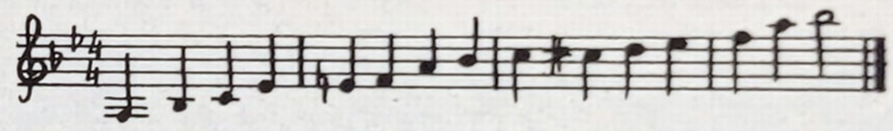

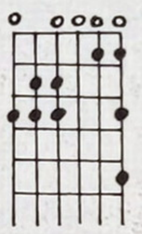

2. Dźwięki narysowane na gryfie zagrajcie i wpiszcie do pięciolinii. Podpiszcie także ich nazwy.

3. Zaznaczcie w jakim kierunku (z góry ⊓, od dołu ∨) będziecie uderzać piórkiem następujące podziały rytmiczne.

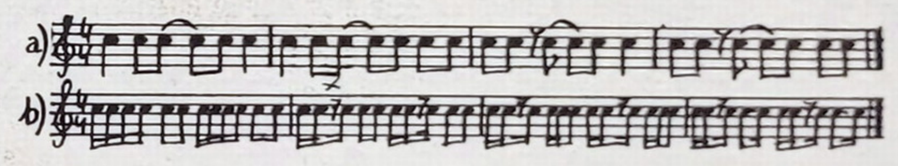

4. Opracujcie chwyty dla następujących akordów i wpiszcie je do diagramów: D, D7, D7+, Dm, E, E7, Em, Em7.

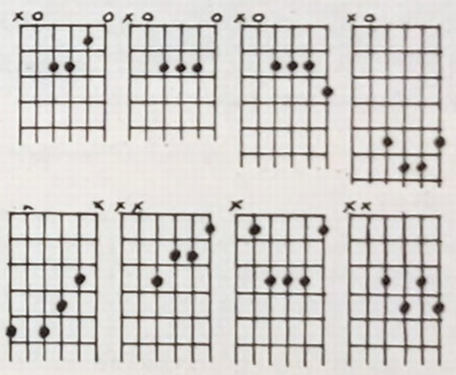

5. Nad diagramami wpiszcie symbole akordów.

Podane wyżej zadanie opracujcie i wyślijcie do nas jak najszybciej. Adres: **Redakcja „Świata Młodych" ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, dopisek – WARSZTATY GITAROWE.** Czekamy do 15 maja, decyduje data stempla pocztowego.

Ale to nie wszystko. Napiszcie także coś o sobie: gdzie mieszkacie, ile macie lat, od jak dawna gracie na gitarze, może także na innym instrumencie itd., no i czy w wypadku pomyślnego zdania pisemnego egzaminu możecie pojechać do Kielc. UWAGA! Zadania eliminacyjne powtórzymy w następnym „Świecie Muzyki" – 6 maja.

Liliana najlepsza!

II Olimpiada Artystyczna dobiegła końca. Wzięło w niej udział ponad dwa tysiące młodzieży w sekcjach plastyki i muzyki. Do eliminacji centralnych zakwalifikowano 65 młodych melomanów, 37 dopuszczono do egzaminu ustnego, po którym wyłoniono grupę 16 laureatów. Krótko o przebiegu olimpiady muzycznej. Etap pierwszy – testy, będące sprawdzianem wiedzy o muzyce, znajomości literatury muzycznej; etap drugi – recenzja koncertu; trzeci – rozmowa z członkami komisji egzaminacyjnej, referowanie wybranego wcześniej tematu, wysłuchanie fragmentu utworu i scharakteryzowanie go z podaniem tytułu i nazwiska autora, odpowiedź na wylosowane pytanie dotyczące muzyki XX wieku. Olimpiada miała zasięg ogólnopolski. Generalny sukces odniosła ekipa Wrocławia, z którego to miasta aż siedmiu licealistów znalazło się w grupie laureatów, ale znajomością muzyki popisywali się także młodzi mieszkańcy Białegostoku, Zamościa, Lublina, Olkusza, Legnicy i Rawy Mazowieckiej. Pierwsze miejsce zajęła LILIANA PYKA z I LO we Wrocławiu. Wzruszona, szczęśliwa laureatka powiedziała: – Muzyką interesuję się od dawna. Mama jest wielką miłośniczką opery, zbiera płyty, które bardzo często zostawiała obok adapteru. Nie namawiała, nie zmuszała do słuchania, ale przecież prowokowała. Brałam je do ręki, oglądałam okładki, czytałam libretta, nazwiska wykonawców, wreszcie „dojrzałam" do słuchania. Zaczęłam chodzić na koncerty do Filharmonii, oglądać spektakle operowe, rozmawiać o muzyce. Bez powodzenia startowałam w pierwszej olimpiadzie, do drugiej przygotowywałam się wyjątkowo starannie. Pomagała mi pani profesor Lucyna Kuliczkowska, która zdobywała oryginalne nagrania, wyszukiwała recenzje ważniejszych koncertów, porządkowała wiadomości, no i udało się. Od trzech lat gram na fortepianie, chciałam nawet zdawać do średniej szkoły muzycznej. W tym roku kończę liceum i wybieram się na kulturoznawstwo – indeks mam już w kieszeni, bo interesuję się także literaturą – brałam udział w olimpiadzie polonistycznej.

Fot. **Teresa Wojtczak**

WYPRACOWANIE NA BANALNY TEMAT

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

tych, którzy polegli za to jedyne miejsce na świecie, abyśmy my dziś mogli tu żyć.

Dziś leżące wiązanki kwiatów i wieńce na grobach poległych żołnierzy oraz słowa wyryte na pomniku BYLIŚMY, JESTEŚMY, BĘDZIEMY mają dla mnie już inne znaczenie. Po spacerze wróciłam do domu. Pies był bardzo zadowolony, ale chyba jeszcze więcej – ja.

Zasiadłam więc za stołem nad czystą kartką podaniowego papieru, wzięłam do ręki pióro i zaczęłam pisać: „Jest taka piosenka: ...***być może gdzie indziej są zimy piękniejsze i noce gwieździste i ranki jaśniejsze, być może bujniejsza, zieleńsza jest zieleń i ptaki w gałęziach śpiewają weselej***" – dla mnie najpiękniejszym skrawkiem ziemi na świecie jest skrawek ziemi polskiej nad Bałtykiem i Dzierzęcinką – miejsce mojego urodzenia. Koszalin..."

Potem sama się dziwiłam, że jest tego aż cztery strony papieru podaniowego i nieważne, czy dostanę za to wypracowanie czwórkę czy piątkę. Najważniejsza jest satysfakcja i to, że dużo się nauczyłam, wiele zrozumiałam. Wieczorem, przed zaśnięciem myślałam: „Czy to możliwe, że w ciągu jednego dnia można tyle zrozumieć? Czy potrzebne było do tego dopiero wypracowanie? A może to był przypadek, zbieg okoliczności? Może tylko normalna rzeczywistość, którą wcześniej czy później i tak musiałabym poznać?" Pytań było wiele, lecz na każde z nich nie umiałam, lub może nie chciałam odpowiedzieć?! Może więc będzie lepiej, gdy zostaną bez odpowiedzi? Faktem jest jednak, że tego dnia zrozumiałam wiele. Wiedziałam więcej niż wczoraj, przedwczoraj, rok temu.

Minęło już sporo dni od opisanych tu wydarzeń. Dziś, patrząc na to z perspektywy czasu, wiem więcej niż wtedy, przyznaję... Wokół mnie toczy się życie. Nowe sprawy, nowi ludzie. Przeżyłam wiele nowych, być może ciekawszych, bardziej interesujących zdarzeń, lecz właśnie ta historia pozostała w mej pamięci najgłębiej. Zapamiętałam ją na długo, może na zawsze, choć była to zwykła, lecz nieco dziwna historia. Prawda?

ALA JAKUBOWSKA

Praca nadesłana na konkurs literacki „Złota Ostroga".

Rozwiązanie tegorocznego konkursu i nazwiska autorów prac nagrodzonych i wyróżnionych ogłosimy w numerze z datą 13 maja.

Zadanie premiowane nr 182

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

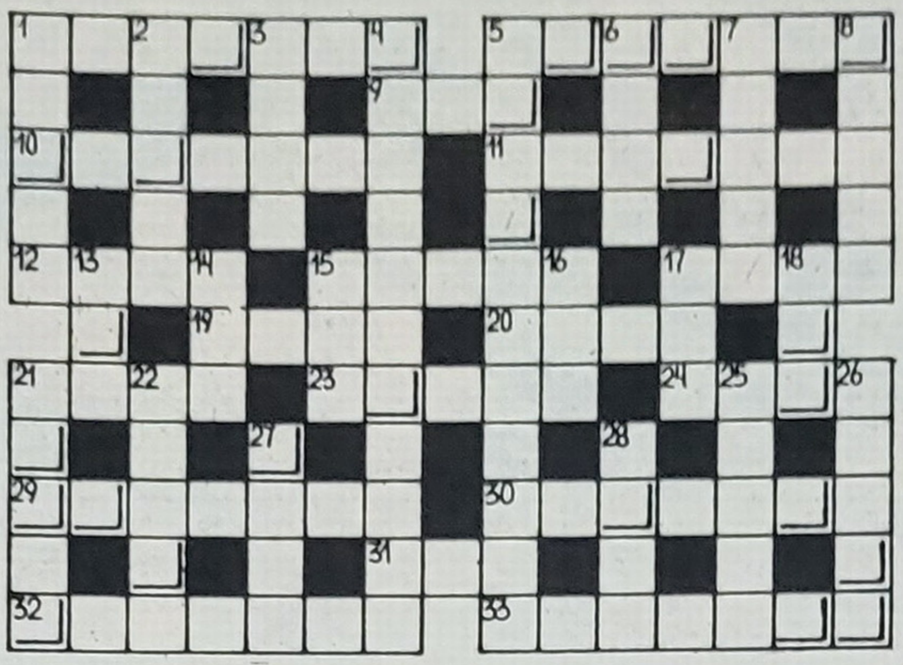

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z oznaczonych kratek, czytane rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 182". **Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu bonów książkowych.**

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) fortel, wybieg, 5) styl pływacki, 9) matka bogów greckich, 10) pracuje przy produkcji mąki, 11) miasto nad Olzą, 12) prezydent Syrii, 15) odpowiedź na umówione hasło, 17) niejeden napisany przez Kochanowskiego, 19) miasto w Serbii (Jugosławia), 20) „żre" żelazo, 21) z szybami i parapetem, 23) tatarski książę, 24) rozległa równina porośnięta trawami, 29) przeszkoda, zawada, 30) współczujące określenie kogoś nieszczęśliwego, 31) miasto w woj. suwalskim, 32) baranek wielkanocny (wyraz ułóż z liter słów GEN- + SUKA), 33) utrata pamięci.

PIONOWO: 1) np. ssąco-tłocząca, 2) wielokrotny kapitan naszej jedenastki piłkarskiej, 3) leczniczy tłuszcz z wieloryba, 4) linia dzieląca rozczesane włosy, 5) mocno pachnąca roślina, rosnąca dziko na piaskach, 6) składnik powietrza, 7) błękit, 8) główny ośrodek naszego Zagłębia Węgla Brunatnego, 13) pozostałość po ściętej gałęzi, 14) spód naczynia, 15) najcięższy metal, 16) przepływa przez Bory Tucholskie, 17) mieszanie kart, 18) miasto w Holandii (czytane jednakowo wprost i wspak), 21) leży nad Dnieprem (w obwodzie witebskim), 22) patriarcha moskiewski od 1652 do 1681 r. (przestaw litery w wyrazie KONIN), 25) znany żużlowiec polski, 26) wywabiana z ubrania, 27) wciągnięcie na listę, 28) imię Kruczkowskiego.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 178

Z 39 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 1.04. 1978 R. Prawidłowe rozwiązanie (czytane w diagramie od końca):

Prima aprilis.

Bony książkowe wylosowali:

Ewa Bzoma – Łubno, Grażyna Duda – Łostówka, Katarzyna Kędrak – Lublin, Andrzej Kudlicki – Sanok, Jacek Maryńczak – Tarnawatka II, Alina Semen – Jeziorany, Leszek Wiczling – Żukowo, Kazimiera Wilmowicz – Brodnica, Radosław Wiśniowski – Oświęcim, Dorota Zaręba – Szczecin.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiaj polecam wszystkim drobny orzech do zgryzienia – „dwa ułamki" a także zagadkę matematyczną, zadaną przez mojego ucznia Ben Omara. Poza tym są stałe ulubione łamigłówki.

Na powtarzające się pytania: kim jest Ben Akiba? ile ma lat? jak wygląda? co to właściwie znaczy Abrakadabra? – odpowiadam: ustaliliśmy raz na zawsze, że tego rodzaju informacji udzielam szczegółowo i wyczerpująco raz w roku, zaraz po rozpoczęciu nowego roku szkolnego. Wszyscy niecierpliwi muszą więc jeszcze trochę poczekać, a warto, bo wyjaśnienia tych problemów łączą się z ciekawymi zadaniami.

Tymczasem kłaniam się – do przyszłej soboty!

BEN AKIBA, gospodarz ABRAKADABRY

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY

KÓŁKA I KWADRATY: nr 6; ale jak tego dowieść – pozostawiam Wam. **ZAWIŁY KWADRAT:** 5; suma trzech ostatnich liczb w każdym rzędzie poziomym zmniejszona o 2 daje liczbę stojącą w pierwszej kratce każdego rzędu.

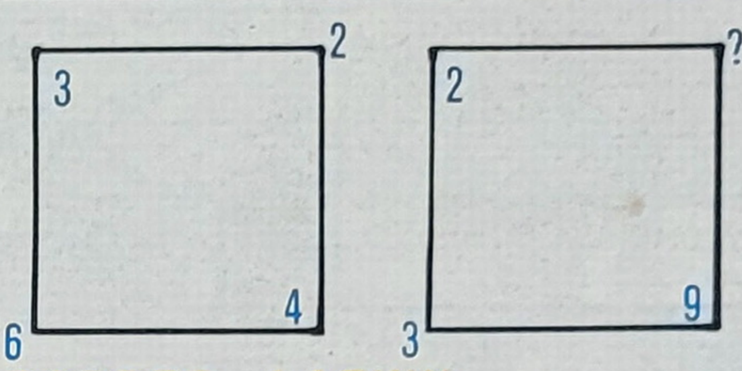

BARDZO ŁATWY KWADRATOWY PROBLEM

Ten łatwy kwadratowy problem przeznaczam dla początkujących abrakadabrystów. Trzeba po prostu zamiast znaku zapytania w drugim kwadracie wstawić odpowiednią, wydedukowaną przez Ciebie liczbę. Liczba musi wynikać z logicznego rozumowania i być podporządkowana regule, jaka obowiązuje w rozstawieniu liczb w obu kwadratach. Do dzieła więc!

DWA UŁAMKI

To zadanie znalazłem w pewnym starym zbiorze matematycznym. Ponieważ nie wymaga ono ani umiejętności wyciągania pierwiastków, ani rozwiązywania równań z dwoma niewiadomymi, na pewno je rozwiążecie: „Z cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 zestawić dwa jednakowe ułamki, których suma będzie się równać 1. Użyć trzeba koniecznie wszystkie wymienione cyfry, ale tylko po jednym razie. Istnieje więcej niż jedno rozwiązanie".

Zagadka mego ucznia

Mój uczeń – Ben Omar – zadał mi kiedyś następującą zagadkę matematyczną: „Znam bardzo ciekawą liczbę dwucyfrową. Gdy wstawisz między obie jej cyfry 6, zwiększysz liczbę o 510. Gdybyś jednak dostawił 6 na końcu tamtej dwucyfrowej liczby, to otrzymasz liczbę o 18 mniejszą niż liczba, która wynikła z pierwszej kombinacji. Czy potrafisz, mój mistrzu, powiedzieć mi, jaką znam ciekawą liczbę dwucyfrową?" – spytał na zakończenie mój uczeń. Nakreśliłem działanie patykiem na mokrym piasku i natychmiast udzieliłem Ben Omarowi właściwej odpowiedzi.

A Wy swoją odpowiedź będziecie mogli porównać z prawidłową za tydzień.

PASTERZ I OWCE

Ten pasterz ma trudny problem do rozwiązania. Dla swoich sześciu owiec ma zbudować symboliczną zagrodę z dwunastu desek, przy czym każda owieczka musi mieć dla siebie oddzielną przegródkę. Warunek jest jeden: desek nie wolno ciąć, łamać, skracać, przedłużać ani kłaść jednej na drugą. Pasterz pomyślał i raźno wziął się do pracy. Czy Ty potrafisz rozwiązać ten problem?

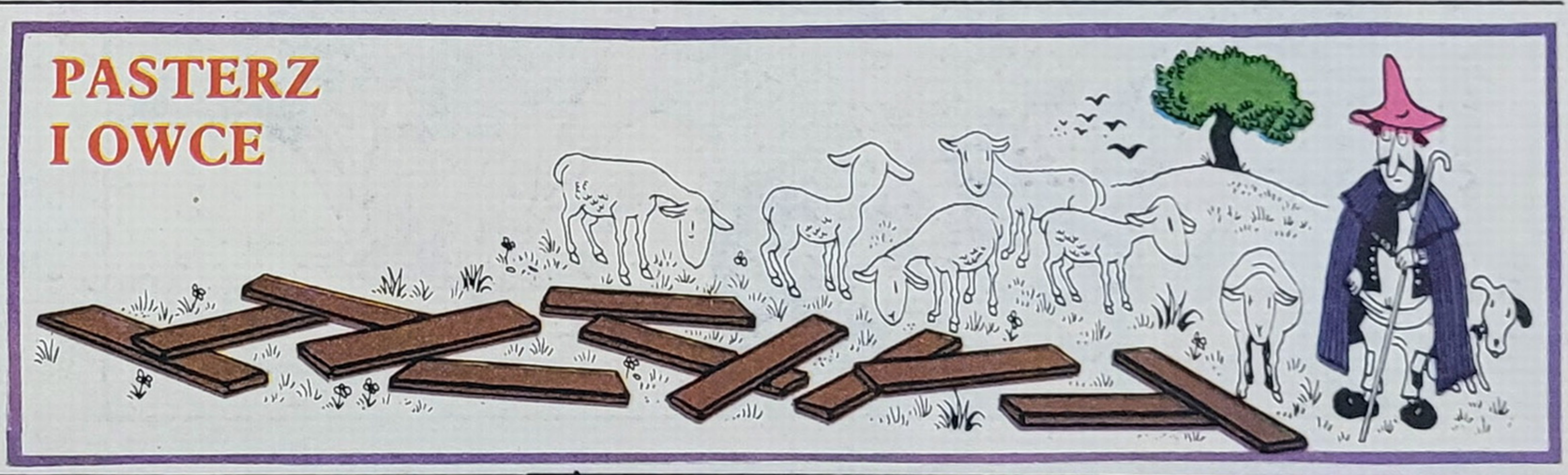

razem kończyliśmy historię sztuki, a on był najzdolniejszym studentem naszego roku. Posiadł nie tylko ogromną wiedzę, ale i odznaczał się wielkim sprytem i niezwykłymi detektywistycznymi zdolnościami. Kiedyś żyliśmy w przyjaźni i rozwiązaliśmy wspólnie kilka zagadek historycznych, odkryliśmy fałszerstwo pewnego wybitnego dzieła sztuki. Ale Waldemar Batura nie chciał żyć, tak jak ja, ze skromnej urzędniczej pensji. Zajął się handlem antykami, a nawet przemytem dzieł sztuki za granicę. Kilkakrotnie nasze drogi skrzyżowały się i trzykrotnie Waldemar Batura za moją sprawą trafiał za kratki. Zachował do mnie o to ogromną urazę, ale nigdy jej nie okazywał, zawsze zachowywał się jak dżentelmen, nawet wówczas, gdy ze mną walczył.

Co do mnie – ceniłem wysoko jego znajomość sztuki oraz zmysł detektywistyczny. Miałem także świadomość, że jako bardzo przystojny mężczyzna – brunet o smagłej, pociągłej twarzy i czarnych wąsikach – miał o wiele większą ode mnie zdolność nawiązywania przeróżnych przyjaźni i kontaktów, szczególnie z ładnymi kobietami, które wykorzystywał do swoich interesów. Dlatego zobaczywszy go natychmiast przypomniałem sobie o Bajeczce.

– Odwiedziłem proboszcza w Borecznie – opowiadał Batura – ponieważ, jak ci wspomniałem wiosną, zaangażowałem się w charakterze drugiego scenografa w zagranicznym filmie kręconym w Polsce. Część zdjęć będziemy robić w wypożyczonym na ten cel pałacu w pobliskich Karnitach. Reżyser zażądał od nas, aby pałac wyposażyć w najróżniejsze starocia, więc razem z rekwizytorami jeżdżę po okolicznych kościołach i muzeach i wypożyczam dla filmu stare krzesła, stoły, szafy, lichtarze, kandelabry. Oczywiście, zwrócimy je za wynagrodzeniem – zastrzegł się, abym nie myślał, że zamierza je skraść i potem komuś odsprzedać. – W Borecznie, niestety, jest tylko mosiężny lichtarz gotycki, mocno uszkodzony, który dla naszych celów się nie nadaje. A ty co tu robisz?

– Przecież wiesz, że szukam autora wiersza „Złota rękawica" – odrzekłem.

– W kościele? – zapytał kpiąco, bo nie wierzył chyba mojemu wyjaśnieniu.

Bez słowa chwyciłem kierownicę roweru, który stał oparty o mur.

– Jeździsz rowerem? – zdumiał się. – A gdzie twój słynny wehikuł, Tomaszu?

Odstawiłem rower i patrząc mu w oczy spytałem:

– Czy to ty przysłałeś mi na jacht w Iławie piękną dziewczynę, ubraną w suknię ze słonecznikami i haftowaną bluzkę?

– Znam dużo ładnie ubranych dziewcząt – odpowiedział. – Jak miała na imię?

– Kazała się nazywać Bajeczka.

Parsknął śmiechem.

– Coś mi się zdaje, że nieźle sobie z ciebie zażartowała. Oj, Tomaszu – przybrał współczującą minę. – Strzeż się ładnych i dobrze ubranych kobiet. Nigdy nie miałeś do nich szczęścia.

– To prawda – przyznałem.

– Kochają cię natomiast przygody, prawda?

– Tak. Ostatnio przeżyłem kilka wspaniałych przygód. – Spoważniał i rzekł przez zaciśnięte usta:

– Uważaj jednak, aby któraś z nich nie skończyła się dla ciebie niefortunnie.

Wsiadł szybko do samochodu i odjechał, dając mi powąchać dym z rury wydechowej swojego Turbo. Wskakując na rower byłem świadomy, że słowa te znaczyły więcej niż znaczyły, kryło się w nich groźne ostrzeżenie. Gdy je wypowiadał, widać było wyraźnie, że jest na mnie o coś bardzo zły i dyszy zemstą. Ale ja nie przypomniałem sobie, abym mu ostatnio wyrządził coś złego albo pokrzyżował jakieś jego plany. Przecież chyba nie przeszkadzało mu to, że pływam po Jezioraku i szukam autora „Złotej rękawicy".

Wróciłem nad zatoczkę pełen złych przeczuć i z obolałymi nogami, bo nie byłem przyzwyczajony do jazdy na rowerze. Na jachcie już czekali na mnie Kika i Psycholog. Niestety, nie udało się im trafić na ślad tajemniczego poety i rzeźbiarza. Należało popłynąć nieco dalej i znowu rozpocząć poszukiwania nieuchwytnego tropu. Ale można to było zrobić dopiero jutro, nadszedł bowiem wieczór, drugi wieczór naszego rejsu.

Jedliśmy obfitą gorącą kolację, którą przygotowała dla nas Pani Księżyc, gdy od strony Siemian nadpłynęła milicyjna motorówka i zauważywszy naszą łajbę, skierowała się w zatoczkę. Milicjanci sprawdzili moją książeczkę żeglarską oraz upewnili się, czy na jachcie jest dostateczna ilość sprzętu ratunkowego. Zgodnie bowiem z przepisami, każdy jacht powinien być zaopatrzony w środki ratunkowe w ilości nie mniejszej niż liczba osób znajdujących się na pokładzie.

Cdn.

LEOKADII

ŻYCIE LEOKADII

SPORTOWE

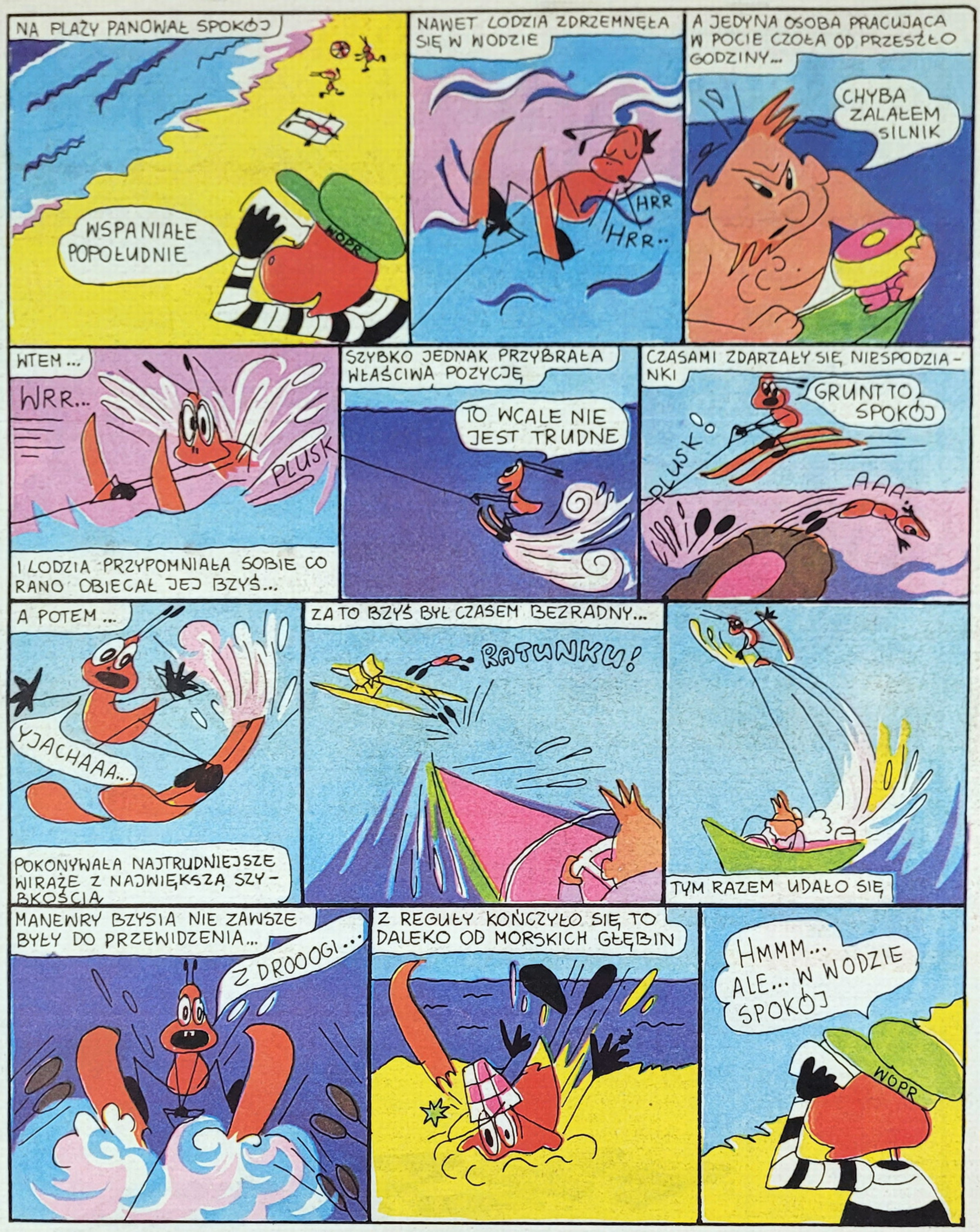

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 8A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr zam. 2636/G S-10

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

Z Kiką i Psychologiem rozstałem się w południe w wiosce o nazwie Tynwałd. Wypożyczyłem tam rower od pewnego gospodarza i nie mówiąc swoim przyjaciołom o celu swej wyprawy pojechałem prawie dwadzieścia kilometrów do wsi Boreczno, gdzie znajdował się stary kościół z początku XIV wieku. W tym kościele byłem ostatnio już dwukrotnie, bo, jak mi się wydawało, krył on w sobie zagadkę, która trapiła mnie od dość dawna. Ale i tym razem, podobnie jak poprzednio spacerując po jego chłodnym i mrocznym salowym wnętrzu doznałem uczucia, że do rozwiązania owej zagadki jest jeszcze bardzo daleko.

Kościół ów, jak wspomniałem, pochodził z pierwszej połowy XIV wieku, był kilkakrotnie przebudowywany i odnawiany, zachował jednak swój gotycki charakter. Tak jak i poprzednio, podziwiałem umieszczoną na stropie barokową polichromię, złożoną z trzech scen wielofigurowych, ujętych w bogate obramowania geometryczne. Był tam ukazany Sąd Ostateczny, Adam i Ewa, cztery popiersia Ewangelistów, Wniebowstąpienie, 12 Apostołów. Piękny wydał mi się także ołtarz, fundacji właściciela sąsiednich dóbr, Jana Albrechta von Schöneich, wykonany w XVII wieku w pracowni Gellerta, z plastyczną płaskorzeźbą przedstawiającą Ukrzyżowanie, a nieco wyżej Zmartwychwstanie.

W kościele wiele przedmiotów mogło zachwycić każdego historyka sztuki, jak choćby ambona lub ława kolatorska z 1728 roku, stary konfesjonał, skarbonka wyżłobiona z pnia drzewnego, chrzcielnica w kształcie anioła trzymającego czarę. Albo też umieszczona w posadzce płyta nagrobna Hansa von Schöneich, zmarłego w 1595 roku, przedstawiająca rycerza w zbroi. Według informacji, jakie uprzednio uzyskałem od proboszcza oraz konserwatora wojewódzkiego, kościół w Borecznie nie posiadał krypt podziemnych i ów Schöneich, którego potomkowie znaleźli się potem w Polsce i przyjęli nazwisko Krasnodębskich – prawdopodobnie został pochowany na starym cmentarzu w Karnitach, a tutaj tylko dla jego pamięci umieszczono płytę nagrobną i epitafium. Ale widok płaskorzeźby przedstawiającej rycerza w zbroi ciągle przywodził mi na pamięć zwrotkę z wiersza anonimowego poety:

„I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę".

Kamienny rycerz w zbroi nie miał w ręku złotej rękawicy, a jego zwłoki i zbroja prawdopodobnie już od dawna zetlały, w którymś ze starych i zrównanych z ziemią grobowców na górze parkowej koło pałacu w Karnitach. Wyobrażałem sobie jednak, że poecie chodziło właśnie o tego rycerza, ponieważ sądząc na podstawie Dziennika Jachtowego „Szkwała" mieszkał on i żył w którejś z pobliskich wiosek i być może bywał w tym kościele.

O piętnastej opuściłem chłodną nawę i wyszedłem na rozgrzaną skwarem szosę, biegnącą z Zalewu do Iławy. Oparty o mur kościelny stał wypożyczony przeze mnie rower, a obok – wspaniały BMW Turbo, w którym siedział Waldemar Batura.

– Witaj, Tomaszu – powiedział wychodząc ze swojego samochodu. – Złożyłem właśnie wizytę proboszczowi w Borecznie i zauważyłem ciebie spacerującego po kościele. Postanowiłem zaczekać, aż skończysz kontemplację wnętrza i znowu ujrzę twoje szlachetne oblicze.

– Cześć, Waldemar – odezwałem się niechętnie.

Albowiem Waldemar Batura zaliczał się do moich najpotężniejszych i najniebezpieczniejszych przeciwników. Znałem go dobrze, ponieważ

Dokończenie na str. 7